

Doktor V. St.

Nie mogę się powstrzymać, od czasu do czasu wstaję, przechodzę do pokoju szefa (jak zawsze czuję się tam nieswojo) i patrzę na puste miejsce na ścianie koło stołu – ledwo widoczny jaśniejszy prostokątny ślad. Dotykam palcami zimnej, chropowatej ściany, rozglądam się i przykładam do niej rozgrzaną popołudniowym słońcem twarz. Czyżbym więc i ja...? Lepiej niech już wróci. Niech wróci.

Dotarcie od bramy głównej Muzeum do drzwi naszej pracowni konserwatorskiej zajmuje mi prawie pół godziny. Kierownik pracowni, doktor Vetulani, który utyka na prawą nogę, ma trochę gorszy czas. Nie słyszałem jednak, by kiedykolwiek narzekał. Nawiasem mówiąc, nie słyszałem, by na cokolwiek narzekał. Prawdę powiedziawszy, w ogóle dość rzadko go słyszę. Oczywiście, nie spóźnia się nigdy.

Przecinając na ukos rozległy dziedziniec, wybrukowany w szachownicę szarą i zieloną kostką, okrążając z lewej strony fontannę, z której spogląda na przechodzących wynurzająca się z piany Wenus Boticellego (oczywiście kopia), omijając klomby i rabatki, które podobno założono jeszcze przed tamtą wojną, wreszcie skręcając w zwirową, nieco zaniedbaną alejkę, przy betonowej żabce, od lat połykającej cierpliwie różne muzealne śmieci, dochodzi się w końcu do niepozornej furtki, ukrytej w załomie omszałego muru. Teraz trzeba mozolnie wspiąć się wąską klatką schodową na trzecie piętro, potem długim, wygiętym w łuk holem okrążyć zaplecze sal sztuki krajów Lewantu, pokonać jeszcze czterdzieści cztery strome, skrzypiące i śliskie od nieustannego pastowania stopnie schodów (czemu nam to robią?), przejść obok lekko zakurzonych drzwi, prowadzących do magazynu współczesnej grafiki, w końcu wejść na główny muzealny trakt i podejść łagodną pochylnią przewiązki, łączącej budynek główny z jego prawym skrzydłem. Tutaj, na uboczu, na piątej kondygnacji, ułożone równo w amfiladzie są nasze pokoje. Ich mansardowe okna z markizami i okiennicami wychodzą na rozległy park na tyłach Muzeum (te markizy i okiennice mają polecenie walczyć ze słońcem, naszym trzecim, obok kurzu i wilgoci, największym wrogiem). Niedaleko, po drugiej stronie korytarza, ma swoje lokum administracja Muzeum; ich archiwum zawalone jest stertą papierów, dokumentów, ekspertyz, wyjaśnień, potwierdzeń i zaprzeczeń, dowodów wypożyczeń i zwrotów, kwitów przewozowych i innych, które leżą, kłębią się na stołach, na regałach, na krzesłach, niektóre nawet na podłodze. Luzem, w teczkach i segregatorach. Dalej mieszczą się pokoje socjalne naszych zawsze znudzonych strażników i składzik ze sprzętem przeciwpożarowym. A za masywnymi, stale zamkniętymi drzwiami, u wylotu tego ponurego korytarza zaczyna się rewir słabo zbadanej płataniny przejść, schodów, galerii. Mało kto w tę otchłań zagląda, mówi się, że Muzeum ma tam również jakieś ekspozycje i od czasu do czasu udostępnia je zwiedzającym; ja jednak, jak długo tu

pracuję (w grudniu miną trzy lata), nigdy nie widziałem żadnego amatora sztuki przechodzącego przez te drzwi. Czasami sprzątaczkę, pod nadzorem pracownika Dyrekcji, wycierają w tym labiryncie kurze, ale i one nie zapuszczają się zbyt daleko i wchodzi – tak podejrzewam – jedynie do pierwszych z brzegu pomieszczeń. Niechętnie zresztą o tym opowiadają.

Jedno jest pewne – nasze Muzeum jest ogromne i nie jest to tylko moja opinia. Kilka czy kilkanaście pięter w górę, chyba nie mniej w dół i jeszcze skrzydła. Wybudowano Muzeum pod koniec tamtego wieku, gdy oczywistym się stało, że dzieło sztuki odrywa się zupełnie od codzienności ludzkiego bytowania, że idzie już własną drogą, wiezie własne, odrębne życie i trzeba mu znaleźć jakieś godziwe, dostatecznie pojemne schronienie, z widokami na przyszłość. Liczba dzieł sztuki i tych rzeczy, które za dzieła sztuki uchodzić pragną, które do uznania za dzieła sztuki pretendują, produkowana nieustannie przez armię artystów: malarzy, rzeźbiarzy, grafików i fotografików, performerów, scenografów, instalatorów, wszelkiej maści plastyków oraz designerów i komputerowych projektantów, poczęła od pewnego momentu wzrastać lawinowo; ktoś te zbiory musi szybko kwalifikować, sprawnie gromadzić, klasyfikować bez wahania i szybko udostępniać publiczności. Moi złośliwi koledzy uważają, co prawda, że obecnie na dziesięć pozyskanych obiektów jedno wędruje do sal muzealnych, dwa do magazynów, a siedem jest w podziemnych kazamatkach dyskretnie, po cichu niszczone, tak by nie urazić artystycznych uczuć i nie podrzucać tematu pismakom, ale jednak trudno dać temu wiarę. Bardziej wierzę tym, którzy twierdzą, że Dyrekcja płaci teraz niektórym artystom, by n i e oddawali nam swoich prac i miłośnikom sztuki, by n i e zwiedzali naszych wystaw. Jest i taka – wcale prawdopodobna – opinia, że Muzeum, w tajemniczy sposób, rośnie powoli wraz ze swoją kolekcją, ale to wymagałoby obserwacji i szczegółowych pomiarów. Te wszystkie fantastyczne teorie, które naszą Pinakotekę traktują jak żywy organizm, który wchłania, trawi, wydalą, rozmyśla, kocha, nienawidzi i ma konieczne uświadomione i nieuświadomione problemy egzystencjalne, idą jednak – moim zdaniem – zbyt daleko. I trącą tanią literaturą. Dziwna sprawa, gdy spogląda się na stary budynek Muzeum z zewnątrz (czasem, wieczorem, przed powrotem do domu, spaceruję po parku i karmię kulkami chleba senne kaczkę, które pływają w stawie pod naszymi oknami), nie wydaje się ono takie duże. Trudno jednak stwierdzić, gdzie kończy się budynek, a gdzie rozpoczyna park. Czyżby złudzenie optyczne? Przed zmierzchem rzeczy zmieniają kształty i rozmiary. Próbowałem kiedyś obejść Muzeum dookoła, ale zapadł zmrok, zaczęły pohukiwać sowy i puszczyki, pogubiłem drogę, w końcu zawróciłem, bojąc się pobłądzić w nieznanym mi dobrze miejscu. Podjąłem niedawno mocne postanowienie, że zejdę kiedyś do parku wcześniej; może za dnia rozwiążę tę zagadkę? Gdyby tylko było mniej pracy...

Przy tym – tak naprawdę – bardziej interesuje mnie inna kwestia: w Muzeum są podobno, oprócz naszej, inne konserwatorskie pracownie. Jeśli to prawda, że jest ono tak duże jak mówią, nie jest możliwe, aby konserwację, renowację, restaurację wszystkich tych zbiorów wykonywano siłami

tak niewielkiego w sumie zespołu jak nasz. Ciekawie byłoby wymienić się opiniami i doświadczeniami (mam taki pomysł na udoskonalenie składu *coletty* przy podklejaniu niektórych starych warstw malarskich, ale w naszej pracowni nie chcą mnie słuchać; cóż, taki los nowicjusza, w tym zawodzie jest się wciąż terminatorem, nawet jeśli pracuje się i dziesięć lat). Nikt jednak tego oficjalnie nie potwierdza, a nasz kierownik wzrusza ramionami, gdy go o to pytam. Uważa chyba, że doskwiera mi nadmiar pracy i że się skarżę.

Jest późne, gorące, suche lato. Jarzębiny wokół stawu już nie są namiętne, utraciły ponętny czerwony blask. Trawa na gazonach w parku od nadmiaru spiekoty przedwcześnie zestarzała się, zwiędła. Skończyłem już pracę, odłożyłem malsztuk i pędzel, rozprostowałem zdrętwiałe palce, siedzę teraz przy zamkniętym oknie, w sterylnym, chłodnym, klimatyzowanym pokoju, piję mrożoną herbatę i gapię się bezmyślnie na te biedne ptaki. Jestem sam na konserwatorskim posterunku, doktor Vetulani zabrał Annę, naszą praktykantkę, na konferencję, inni wyjechali już na długi weekend albo rozjechali się na wakacje. Nie mogę się powstrzymać, od czasu do czasu wstaję, przechodzę do pokoju szefa (jak zawsze czuję się tam nieswojo) i patrzę na puste miejsce na ścianie koło stołu – ledwo widoczny jaśniejszy prostokątny ślad. Dotykam palcami zimnej, chropowatej ściany, rozglądam się nerwowo i przykładam do niej rozgrzaną popołudniowym słońcem twarz. Czyżbym więc i ja...? Lepiej niech już wróci. Niech wróci.

Wiekowe, chrypiące radio szefa nastawione było stale na program nadający muzykę klasyczną. Pokrętko wyboru częstotliwości urwało się – jak wspomina Ludwik, starszy kolega i mój konserwatorski *cicerone* – dawno temu, przed laty, gdy doktor Vetulani rzucił w odbiornik filiżanką z kawą. To był pierwszy i jedyny akt niewytłumionej emocji pana Stanisława, jaki zapamiętali jego współpracownicy. Tego dnia Bogna Vetulani, wówczas „zastępca kierownika Pracowni Konserwacji Muzeum”, a zarazem żona Stanisława V., spakowała swoje rzeczy i opuściła doktora oraz Pracownię raz na zawsze. Pani Bogna Jakaś Tam, w każdym razie eksVetulani, była tu niedawno. Przyniosła imieninowy tort. Do byłego męża nawet nie zajrzała.

Oprócz odrapanego radia doktor ma jeszcze w swoim pokoju (słowo „gabinet” w żadnym wypadku nie pasuje, już chyba lepiej: „erem” albo *refugium*) gramofon na płyty winylowe; czasami słyszymy przez ścianę rzewne dźwięki big-beatu i rock-and-rolła z lat wczesnej młodości szefa albo któryś z trzeszczących niemiłosiernie koncertów fortepianowych Józefa Hofmanna.

Rano, zaraz po przyjściu do pracy (zawsze o tej samej porze, o dziewiętej minut piętnaście), gdy tylko złapie pierwszy oddech po uciążliwym zdobywaniu piątej kondygnacji i dojdzie do jakiegoś takiego ładu ze swoją wierną – jak mawia – arytmią, doktor Vetulani zaparza dzbanek słabej kawy w starym ekspresie na śmieszne, papierowe filtry (przywiózł ten – pożałuj Boże – ekspres, jako wojenne trofeum, ze swego pierwszego stypendialnego wyjazdu za granicę, w czasach, gdy Brigitte

Bardot jeszcze interesowała się ludźmi, a ludzie nią, zaś Marlena Dietrich wciąż ośmielała się pokazywać swoje nogi na okładkach kolorowych magazynów). Czyta przez pół godziny „Conservation News” i – dla równowagi – „Le Conservateur”, przegląda codzienną pocztę (elektronicznej nie uznaje) i biuletyn „Co nowego w Muzeum”, zagłębia się na kilka chwil w którymś z krótkich opowiadań lub sonetów Borgesa, kartkuje jakiś album, po czym w swoim nieskazitelnie białym, wykrochmalonym fartuchu, narzuconym na sztruksową marynarkę (jedyną jaką ma) z wytartymi łatami na wytartych łokciach, trzymając ostrożnie w ręce filiżankę kawy (chętnie napisałbym: dymiącej i aromatycznej, ale nie jest to prawda), zabelonej jakimś paskudztwem chemicznym, odwiedza nasze pokoje. Podpierając się laską, kuśtyka wzdłuż stołów konserwatorskich, przystaje przy sztalugach i stołach, zagląda nam przez ramię, od czasu do czasu rzucając nieśmiało, jakby w powietrze, krytyczną lub pochwalną (rzadziej) lakoniczną uwagę na temat postępów naszej pracy. Powszechnie przestrzegana jest zasada, by wyłączać w czasie tego porannego obchodu wszystkie radioodbiorniki, ponieważ informacje o tym, co kto komu, gdzie i jak bardzo, odtwarzane z lubością, deklinacyjnie i koniugacyjnie przez rozmaite rozgłośnie, wywołują lękowe skurcze na twarzy naszego szefa, widoczne drżenie jego lewej ręki i nasilenie chromania prawej nogi. Nie należy także kontynuować wcześniej rozpoczętych rozmów na tematy polityczne, ekonomiczne, społeczne i tym podobne, ponieważ wszystkie te sprawy nudzą i irytują doktora Vetulaniego. Nie cierpi też słów typu: sukces, kariera, sława, awans, pieniądze czy seks. Czyli tego wszystkiego, co nam zwyczajnym ludziom mrowi plecy, co w nas budzi podniecenie, rodzi napięcie. Słyszając strzęp, odprysk takiej rozmowy, zagadnięty o jego własne w tej materii przemyślenia, doktor cofa się bojaźliwie, trwożliwie ogląda za siebie, jakby szukał wsparcia u swojego anioła stróża lub geniusza, chowa chudą szyję z wystającą grdyką głęboko, głęboko gdzieś między ramiona, wychodzi z pokoju i zamyka się szczelnie w swoim pokoju.

Czasami jednak przystaje lub przysiada się na dłużej, gdy ktoś z nas wędruje po internecie, ale tylko wtedy, gdy dostrzeżę na ekranie komputera portal www.artcylopedia.com lub inną wirtualną galerię. Wpatruje się wtedy chciwie, pożądliwie w wyświetlane zdjęcia obrazów i rzeźb, czasem tym swoim lekko szeleszczącym głosem prosi o doczytanie opisu, noty, recenzji; krzywi się przecież w końcu i zniechęcony macha ręką. „Obraz to (jąka się nerwowo), obraz to, proszę koleżanki, nie tylko kreska, kolor i fabuła. Nawet nie tylko faktura. To także smak, zapach, dźwięk. Czy pani wie, że Fragonard smakuje inaczej niż Watteau? Jest bardziej kwaskowy. I raczej limonka niż cytryna. A Chardin pachnie często jak zaułki paryskiej ulicy. Była pani w Paryżu? A tak, już chyba kiedyś pytałem... A znowu większość obrazów Bouchera ma kobiecy zapach. Lekkich, zmysłowych perfum, zmieszanych z zapachem ciała. Niechże mi się pani tak nie przygląda... To nie są zbyt oryginalne obserwacje, ja wiem. Davida widzimy, ale i coś dochodzi do naszych uszu. ‘Królowie ją upuścili, ja ją podniosłem’. Przecież to tam słyhać wyraźnie! Jakże więc to wszystko poczuć przez tę elektroniczną zastłonę? Jak uruchomić zmysły? Życzę (znów się jąka), życzę wszystkim miłego dnia”...